



KRÓTKOFALOWIEC POLSKI

nr 8 (511)/2007

ISSN 1230-9990

„Krótkofalowiec Polski” - organ prasowy
ZG PZK ukazuje się od 1928 roku
Wydawca ZG PZK
Druk: Wydawnictwo AVT Warszawa

Redaktor Naczelny
Wiesław Paszta SQ5ABG
sq5abg@tlen.pl

Polski Związek Krótkofalowców
Sekretariat ZG PZK
ul. Modrzewiowa 25, 85-635 Bydgoszcz
adres do korespondencji:
skr. poczt. 54, 85-613 Bydgoszcz 13
Tel/fax (52) 372-16-15,
e-mail: hqpk@pzk.org.pl,
strona internetowa www.pzk.org.pl
Konto bankowe:
33 1440 1215 0000 0000 0195 0797

Centralne Biuro QSL – adres jw.

Prezydium ZG PZK

Prezes:
Piotr Skrzypczak SP2JMR
sp2jmr@pzk.org.pl
Wiceprezisi:
Ewa Kotodziejska SP1LOS
sp1los@pzk.org.pl
Tadeusz Pamięta SP9HQJ
Sekretarz generalny:
Bogdan Machowiak SP3IQ
sp3iq@pzk.org.pl
Skarbnik:
Aleksander Markiewicz SP2UKA

Główna Komisja Rewizyjna

Przewodniczący:
Maciej Kędziński SP9DQY
sp9dqy@pzk.org.pl
Członkowie GKR: Zdzisław Chyba SP3GIL,
Bogdan Trych SP9VJ,
Jarosław Dyś SP5CTD,
Marek Ruszczyk SP5UAR

Inne funkcje przy ZG PZK

Award Manager:
Augustyn Wawrzynek SP6BOW
sp6bow@pzk.org.pl
ARDF Manager:
Krzysztof Słomczyński
SP5HS ardf@pzk.org.pl
IARU-MS Manager:
Jerzy Gierszewski SP3DBD
sp3dbd@poczta.onet.pl
IARU Liaison Officer:
Wiesław Wysocki SP2DX
sp2dx@chello.pl
VHF Manager:
Zdzisław Bienkowski SP6LB
pkukf@pzk.org.pl
KF Manager:
Adam Perz SP5JTF sp5jtf@pzk.org.pl
QTH Manager:
Grzegorz Krakowiak SP1THJ
qth@pzk.org.pl
Packet Radio Manager:
Marek Kuliński SP3AMO
sp3amo@pzk.org.pl
Manager OH PZK:
Andrzej Wawrzyniewicz SP3TYC
sp3tyc@pzk.org.pl

Od Redakcji

Nasz sierpniowy KP w całości został poświęcony wyprawie, której początkowym celem była wyspa Agalega. Pomimo wielu trudności, które śledziliśmy na bieżąco dzięki informacjom internetowym i radiowym, nasza polska grupa DXpedycyjna, „wyszła” w eter z pod znaku 3B7SP z Saint Brandon Rocks (Ławica Caragados Carajos). Niech ta relacja przybliży naszym Czytelnikom to, co wydarzyło się podczas tej wyprawy. Miłej lektury.

Wiesław SQ5ABG

Wyprawa na St. Brandon

W dniu 25 czerwca powróciłem z zasadniczą grupą z prawie miesięcznej wyprawy na St. Brandon. Wyprawa była planowana i awizowana jako wyprawa na Agalegę 3B7. Jednak los rzucił nas w miejsce, o które występowaliśmy kilka lat temu, a na które w tamtym czasie nie można było uzyskać zgody na lądowanie, a jeżeli już to poprzez odpowiednie opłacenie się kompanii rybackiej. Miejscem tym był Archipelag St. Brandon, składający się z 16 wysp i niezliczonych płycizn i mający swój własny prefiks 3B7.



Na Okęciu tuż przed odlotem na Mauritius

Planując wyprawę, nie mieliśmy zbyt dużo pieniędzy, a firma rybacka chciała ich bardzo dużo, więc złapaliśmy się idei, aby popłynąć na Agalegę. Agalega od strony technicznej jest o wiele trudniejszą do uzyskania wyspą. Duża odległość od Mauritiusa (a na Mauritius musieliśmy lecieć, aby myśleć o lądowaniu na Agaledze – lokalne przepisy) powodowała, że największym problemem stało się znalezienie środka lokomocji, aby tam dopłynąć, przewieźć sprzęt i wrócić. Rekompensowało to łatwiejsze uzyskanie licencji. Kilkumiesięczne starania zostały w końcu uwieńczone znalezieniem katamaranu, któremu kilka miesięcy później, w przeddzień naszego wypłynięcia na ocean, zmieniono imię na „Josephina”.

Żadnych innych propozycji nie mieliśmy, chyba żeby wynająć wielki statek za równie

wielkie pieniądze. Nasz katamaran też nie był tani. Koszt jego wynajęcia został wyceniony wstępnie na około 15 000 euro! w wersji albo bierzecie, albo nie ma o czym mówić, bo łódź codziennie ma rejsy wokół Mauritiusa i zarobi na tym te same pieniądze. W tym czasie do mojego pomysłu wyjazdu na Agalegę dołączył Wojtek SP9PT. Obaj wystąpiliśmy do władz Mauritiusa z prośbą o licencje na Agalegę. Nie będę opisywał, ile wymagało to interwencji, listów, telefonów, faksów. Faktem, że w końcu otrzymaliśmy promesę licencji, a potem licencje na dwa znaki, mój i Wojtka, łamaną przez 3B6 i za nic w świecie nie chciano zmienić licencji na jedną grupową. W międzyczasie dołączyli do nas inni koledzy. Tak więc, gdy dotarli do nas licencje, zaczęliśmy zbierać pieniądze, pokazali się pierwsi sponsorzy, w tym krótkofalowcy, zaczęła działać nasza strona www.godx.eu, którą od początku prowadził Wojtek SP5BFX. Wtedy spadła na nas informacja, że koszt katamaranu to nie wspomniane 15 000 euro, do której to sumy z trudem się przyzwyczailiśmy, ale wzrósł on do sumy 38 000 euro! bo... wzrosły ceny paliwa, bo łódź musi być z nami cały okres, a koszt 15 000 był liczony na rejs kilkudniowy, bo to, bo tamto...



Nasza łódź „Josephina” która miała nas bezpiecznie zawieźć na Agalegę

To już było ponad nasze możliwości. Planowaliśmy, że maksymalnie wydamy na osobę 3 tysiące euro, co i tak w Polsce jest sumą olbrzymią. Sponsorzy oferowali bardzo małe pieniądze i to nawet tak bogate organizacje jak GDX Foundation. Wiele amerykańskich fundacji w ogóle nie wykazało zainteresowania tą wyprawą. Wtedy postanowiliśmy, że nie mamy chyba szans na tę wyprawę, zwłaszcza że wpływy od sponsorów to w sumie było wtedy około 5000 euro, a koszty które znaleźliśmy, przekraczały 60 000. Ogłosiliśmy, że rezygnujemy i zaczęliśmy zwracać otrzymane wpłaty. Wtedy odezwał się Val RD3AF, który szybko zorganizował nam pomoc finansową i dodatkowo zachęcił do wyjazdu. A więc zaczęliśmy od nowa. Teraz wystąpiły nowe kłopoty: Wojtek SP9PT się rozchorował, a Marek SP9BQJ i Bogdan SP3IQ wycofali się z wyprawy. Zaczęliśmy szukać następnych chętnych, mających doświadczenie w pracy w pile-upie. W końcu zespół 8-osobowy, który wyruszył na wyprawę wyglądał następująco: SP9MRO – szef wyprawy (SSB), Włodek SP6EQZ, Krzysztof SP3MGM i Bogdan SP3RBR (CW), Wojtek SP5BFX i Danuta SP9SX (SSB), Andrzej SP3RBRG i Wojtek RTTY i PSK, a od czasu do czasu SSB.

W dniu 28 maja wylecieliśmy via Paryż do Port Louis na Mauritiusie. Mój bagaż podręczny był olbrzymi, bo po długiej walce z Icom Polska i Szwecja (okazuje się że to ten sam właściciel), po 2 miesiącach od wysłania do prostej naprawy radia, cudem w przededniu wyprawy odebrałem mojego Icoma 756pro. Piszę o tym więcej, bo radio to będzie istotne dla naszej dalszej podróży. Tak więc Icom pokazał coś, czego wstydziliby się w USA czy Japonii, lekceważenia swojego klienta. Tak więc mój podręczny 20 kg bagaż dzielnie przeszedł odprawę bagażową i kontrolę na lotnisku w Warszawie i Orly w Paryżu. Pomogły nam nasze koszulki sponsora Nacional Geografic Channel i informacje o ekspedycji. Spotkaliśmy się z bardzo dużą życzliwością zarówno w polskich liniach lotniczych Lot, jak i Air Mauritius. Dla przeciętnego mieszkańca Mauritiusa Agalega to ziemia nieznana. Wiedzą, że żyje tam jakaś ludność, że to dwie wyspy i tyle. Po męczącym locie nad



Przed wypłynięciem z Port Louis. Od lewej strony: Witek SP9MRO, Danusia SP9SX, Włodek SP6EQZ, Krzysztof SP3MGM, Bogdan SP3RBR, Robert SP5XVY Wojtek SP5BFX. Brak Andrzeja SP3RBRG, który robi zdjęcie

ranem czasu lokalnego (-2 godziny do polskiego) docieramy szczęśliwie na Mauritius i Clency, nasz opiekun na wyspie, sprawnie przewozi naszą ekipę do bazy. Czekają tam na nas Robert SP5XVY i Bogdan SP3RBR, którzy przylecieli kilka dni wcześniej, zdążyli odebrać blisko 600 kg carga lotniczego i zorientowali się wstępnie, gdzie i co można nabyć z długiej listy rzeczy przewidzianych do zakupu na Mauritiusie.

W następnych dniach grupa podzieliła się na podgrupy i po długich negocjacjach zakupiliśmy dwa 3,5 KW generatory Diesla (ostatnie dwie sztuki na Mauritiusie!), 120 kg prętów, które będą później wykorzystane na wyspie jako śledzie, odebraliśmy licencje i zgodę na wyjazd. Kupiliśmy 5 namiotów, 4 wentylatory, lampy do stacji, kilka kilometrów drutu na przeciwwagi do GP, kilkaset metrów przewodu energetycznego do zasilania stacji, jedzenie, wodę itp. itp...



Robert sprawdza wyposażenie katamarana



Włodek opowiada naszym hobby i o krótkofalowcach w Polsce



Rozwiną ten żagiel czy nie? Bogdan i Wojtek kibicują załodze „Josephiny”



W końcu w południe, w towarzystwie Coast Guard i towarzyszącej nam do wyjścia z portu jednostki o nazwie „Seagull”, na której były osoby nas odprawiające, w tym telewizja, wypłynęliśmy na ocean

W międzyczasie odwiedziliśmy nasz katamaran, który okazał się dużą jednostką, ale przechodził do ostatniego dnia przegląd i był doposażany. W przeddzień wyjazdu ostatni shopping i po południu pojechaliśmy na katamaran na uroczystość związaną z naszym wypłynięciem i nadaniu mu nowego imienia „Josephina”.

Cały sprzęt z carga był już załadowany, katamaran odświeżony, a na nabrzeżu czekało na nas kilkanaście osób z lokalnej prasy i ekipa telewizji z I programu Mauritiusa. Przybył dyrektor generalny z Ministerstwa ds. Wyp, doradca ministra turystyki, szef rady nadzorczej Izby Promującej Mauritius i wielu innych gości..

Wygłoszono szereg oficjalnych przemówień, koledzy i ja odpowiadaliśmy na szereg pytań związanych z wyprawą i krótkofalarstwem. Impreza trwała do późnych godzin wieczornych. Prawie o świcie przenieśliśmy się na katamaran, gdzie znowu czekali na nas przedstawiciele innych tytułów prasowych oraz telewizja, która chciała uwiecznić moment wypłynięcia naszej ekspedycji na Agalegę.

Wreszcie wypłynęliśmy. Szybko okazało się, że musimy na kilka godzin zawinąć do Portu Grand Baie po paliwo i uzupełnienie zapasów słodkiej wody. Ale żagle zostały podniesione i w doskonałych humorach



Mijamy ostatnie wysepki i wypływamy na otwarty Ocean Indyjski

wypłynęliśmy. Kapitan Didier jest w dobrym humorze, jego zastępca Segon, pół-Chińczyk uwija się w kuchni z Michaeliem – ma być coś dobrego na obiad. Nawet nie zauważyłem, że nic dotychczas nie zjadłem. Emocje? Pewnie tak, ale płyniemy i to jest najważniejsze. Andrzej i Robert starają się pokazać swoje żeglarskie doświadczenie.

Nasz krótki pobyt w Grand Baie postanowiliśmy wykorzystać na drobne zakupy, bo to i owo jeszcze by się przydało. Jakież było nasze zdumienie, gdy po kilku godzinach okazało się, że dalej płynąć nie możemy, bo na jednym z dokumentów nie ma właściwych pieczętek (w Port Louis to nie przeszkadzało, ale tutaj tak). Nasze interwencje nic nie dały i musieliśmy czekać do poniedziałku rano. Wykorzystaliśmy ten czas na zwiedzenie Mauritiusa. Zabawne było, jak z Danusią w niedzielę wymienialiśmy w kantorze 100 \$ na rupie, a człowiek obsługujący ten kantor ucieszył się na nasz widok i powiedział: „a ja was znam wy jesteście z ekspedycji na Agalegę, która wypłynęła z Port Louis w sobotę”. I wtedy zrozumiał, że my ciągle jesteśmy na Mauritiusie, mimo że TV i prasa już nas pożegnali. Propaganda czyni cuda.

Ale jest poniedziałek około jedenastej i dociera do nas „brakujące” zezwolenie. Coast Guard wydaje zgodę na wypłynięcie. Wyruszamy (jeszcze raz tankujemy wodę), bo przez te dwa dni część została zużyta. Na redzie ta sama Coast Guard, która parę chwil wcześniej wydała zgodę, jeszcze raz podpływa, aby zobaczyć czy ten „ważny z pieczątką” dokument jest na łodzi. Wreszcie sobie poszli. Płyniemy!

Wieczorem mijamy ostatnie wysepki okalające Mauritius, wcześniejszy obiad zjedli wszyscy, ale po chwili kilku kolegów wisi na relingach – dopadła ich choroba morska. O dziwo, dwóch członków załogi też zachorowało, a mały pomocnik kucharza o imieniu Joseph, nazwany przez Krzysztofa Józkiem, bardzo ciężko. Robert chorował praktycznie przez cały czas rejsu i zobaczyliśmy go dopiero, jak dobiliśmy o brzegu St. Brandon. Rejs rozpoczął się obiecująco, osiągaliliśmy ponad 12 węzłów, a więc zamiast czterech czy pięciu dni była szansa, że za trzy dni dobijemy do Agalegi i nasze opóźnienie z wypłynięciem

nie odbije się na aktywności w eterze. Tak było do wieczora drugiego dnia. Z Danusią SP9SX, która bardzo dzielnie zniosła swój pierwszy w życiu rejs, i Andrzejem SP3RBG, który już pływał na Morzu Śródziemnym dyżurowaliśmy na ławeczce, która była za mostkiem kapitańskim. Katamaran pędził jak szalony. Nie dało się za bardzo spać, bo najpierw nogi szły do góry pod kątem 45 stopni, następnie była kilkusekundowa chwila, gdy leżeliśmy w pozycji poziomej, a następnie gwałtownie przechylał się w drugą stronę i całe ciało opadało w kierunku głowy znowu pod kątem 45°. Koniec tego cyklu kończył się potężnym uderzeniem o lustro wody podszycia łodzi i przesywającym całe ciało wstrząsem. Tak co minutę, godzinę... Wstrząsy nie pozwalały zasnąć i człowiek był jak w le-targu. W naszej kabinie (mojej i Danusi) przestała działać kanalizacja, a umycie się wymagało wyższej szkoły cyrkowej, której niestety nie ukończyliśmy. Podczas drugiej nocy rejsu byłem na mostku gdzieś do północy, zszedłem na dół do kajuty i w pewnym momencie usłyszałem hałas, a potem jakby inne dźwięki, które wydobywały się z wnętrza katamaranu.

Wydawało mi się, że fale były jakby mniejsze bo i uderzenia inaczej brzmiały. Muszę dodać, że w tym czasie morze wg kapitana Didier'a miało ponad 5 skali-Beauforta i wyglądało mało ciekawie jak dla mnie szczerza ładowego. Potężne fale pędziły na nas i już wydawało się, że za chwilę przeleją się ponad nami. Ich demoniczny wygląd potęgowało oświetlenie odbijającego się od wody światła księżyca. Była prawie bezchmurna noc, a księżyc był w pełni. Niebo oświetlone było milionami gwiazd. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego nieba na własne oczy, bo nigdy nie byłem ponad 100 km od cywilizacji, od podświetlających w nocy niebo lamp. Co jakiś czas widać było spadające meteory. Już dla tego spektaklu warto było płynąć. To było wspaniałe.

Tak więc pobierałem całe swoje rozbite ciało i obijając się kolejny raz od ścian i drzwi, wydostałem się na mostek kapitański. Po drodze poślizgnąłem się o po-układane na podłodze gazety. To Józek osuszał zalaną podłogę messy. Był tam

tylko kapitan, który mętnie oświadczył mi, że nie mamy głównego żagla grota, bo właśnie się podarł i płyniemy na małym żaglu przednim, zwanym fokiem, oraz na jednym silniku. Pierwszy, jak się okazało, w nocy też uległ uszkodzeniu! Kapitan, mówiąc to sondował, co ja o tym wszystkim myślę, równocześnie informując mnie, że najbliższe mamy do St. Brandon, ale to ponad 120 mil. Podjęliśmy decyzję, że nie ma sensu nasz rejs na Agalegę i że popłyniemy na St. Brandon, a tam zobaczymy, czy da się naprawić katamaran. W tym momencie pomyślałem, że to pewnie koniec z takim trudem zorganizowanej ekspedycji!

Poszedłem podzielić się tą wiadomością z Danusią i resztą kolegów, ale zanim zdążyłem wrócić, już i tego małego żagla też nie było, a po chwili otrzymałem informację, że ten uszkodzony silnik, który jest zalany (co gorsza na nim był zamontowany generator zasilający urządzenia elektryczne na łodzi), nie nadaje się do naprawy na oceanie. Nasza dzielna załoga utraciła też śrubę napędową z silnika, wpadła ona do wody w miejscu o ponad 3 km głębokości. Płyniemy pod polską banderą, bo nasza narodowa flaga wisi, a flagę Mauritiusa po awarii grota porwał gdzieś wiatr. Sytuacja zaczęła wyglądać bardzo źle.

Do Agalegi ani do Mauritiusa nie dopłyniemy na jednym działającym jeszcze silniku. Agalega za daleko, chociaż wiatr był dla nas korzystny, a Mauritius jest pod wiatr i jedyny silnik nie poradzi sobie z falami. A więc podjęliśmy jedyną słuszną decyzję – koniec z płynięciem na Agalegę, płyniemy na St. Brandon.



Kapitan Didier ma wreszcie szansę wyliczyć uszkodzenia łodzi, lista jest długa...

Trzeba się ratować i zacząć przejmować inicjatywę, bo ze strony załogi nie było żadnej inicjatywy! Obudziłem resztę kolegów. Część z nas na skutek zażytych lekarstw przeciw chorobie lokomocyjnej poruszała się i odpowiadała w zwolnionym tempie. Wtedy dostaliśmy kolejną informację... nie mamy komunikacji przez radio, pomimo że łódź ma nowego "żeglarskiego Icoma" (przy nas był montowany). Słyszymy stacje na SSB, ale naszego wołania nikt nie odbiera. Drugie radio FM ma za małą moc, aby się dowołać do St. Brandon. Nie mamy na pokładzie do niego i do skrzynki antenowej instrukcji, nie wiemy też, jak to wszystko jest podłączone i czego szukać.



Co ja na tej okropnej łodzi robię?!

Zapada decyzja o zbudowaniu anteny na 6,215Mhz (pasmo Coast Guard), bo i antena katamaranu do niczego się nie nadaje. Całe szczęście, że w końcu wydobyłem z gardła od „super” serwisu Icoma moje radio, w którym zdjąłem zabezpieczenia, aby móc w Polsce pracować powyżej 7,1 MHz. Icom nie ma żadnego innego rozwiązania na swoje cuda techniki. Krzysiek szuka drutu (mamy tylko linkę 2 mm), wylicza długości dla anteny typu Inverted V i z Andrzejem szybko przygotowują antenę. Na wysokiej, 5-metrowej fali wychodzimy na śliski pokład katamaranu w pięć osób (dołączają obudzeni Wojtek SP5BFX i Bogdan SP3RBR), rozpoczynamy naszą pracę przy zamontowaniu anteny do głównego masztu. Końce mają być mocowane po obu stronach łodzi. Danusia wisi w swojej galerii za kapitanem i obserwuje nas wszystkich, czy aby komuś nic się nie stało albo nie wypadł za burtę. Wreszcie zawieszamy antenę. Krzysiek sprawdza i oświadcza: „no nie wiem, SWR się ciągle zmienia” (wiotka antena szalała na wietrze, raz zbliżając się, a raz wydłużając swoje ramiona). Targam z kajuty swój komplet zasilacz i Icoma i uruchamiam go. Radio chodzi, ale SWR za duży, musimy skorygować długość anteny. Ale i tak musie-

liśmy, bo ledwie to powiedziałem, jak urwał się jeden z końców naszego dipola. Cała piątka znowu na pokład i od nowa zabawa. Najpierw kładzenie anteny, a następnie po jej naprawie ponownie ją wieszamy. Udoskonalamy technologię wieszania, wprowadzając nylonowe linki, które przejmują na siebie podmuchy wiatru. Próbuje, wołamy, odpowiada jakiś statek rybacki.

On z kolei informuje Coast Guard i ustala, że za dwie godziny mamy mieć sked na tej samej częstotliwości ze Strażą Wybrzeża i nim. Mamy trochę czasu, nic do roboty, statek posuwa się z szybkością około 4 km/godzinę, więc sprawdzam, czy antena pracuje na innych pasmach. Wołam na 18 MHz. Odpowiada ZS1Y i natychmiast oferuje swoją pomoc. Jest gotów natychmiast dzwonić do Coast Guard na Mauritius. Jak dobrze, że jest to nasze hobby i przez radio możemy nawiązać w tak krytycznych momentach szybko łączność. Informuję go, że mamy już z nimi kontakt i pięknie mu dziękujemy. Następnie jest jeszcze kilka QSO. Pojawiają się J28, Japonia i znowu wysokie SWR. Antena ponownie się zerwała? Tym razem zwracanie na balunie, wiatr uderzał nim o maszt i go uszkodził. Ale nic to, Krzysztof ma drugi.

Znowu działa. Wiatr się trochę zmienił i jest bardziej nam przychylny. Płyniemy z szybkością około 3 węzłów przy wysokiej fali. Dowiadujemy się, że już nawet system nawigacji satelitarnej nie działa, padła bateria akumulatorów i napięcie jest poniżej 8V. Te uszkodzenia i informacja o wysokiej wodzie pod pokładem już na nas nie robią wrażenia, są jakby następstwem poprzedzających je zdarzeń. Najważniejsze, że pompy pracują i wypompowują wodę. Możemy w każdej chwili ponownie uruchomić nasze dwa agregaty prądotwórcze, już raz w nocy były potrzebne, gdy znikło napięcie 220V i Andrzej z Krzysztofem naprawiali przy pomocy Wojtka ich uszkodzony przetworznik 220/12V. Ponowna akcja na pokładzie, bo zbliża się godzina ewentualnego skedu. Robimy kolejne udoskonalenia, SWR skacze jak szalony, ale skrzynka antenowa Icoma na szczęście nadaje. Wołamy najpierw statek rybacki L'Espoir (nomen omen po polsku „Nadzieja”). Po kilku wywołaniach wreszcie odpowiadają. Jaka ulga i po chwili łączymy się z Coast Guard. Kapitan smętnie wylicza długą listę usterek. Siedzę obok niego i pilnuję, aby podał wszystkie usterek. Może to być potrzebne. Rozmawiają po kreolsku od czasu do czasu wrzucając francuskie lub angielskie słowa. Kapitan prosi o pomoc, którą nazywa asystą drugiego statku, ale my wiemy, że bez pomocy innej jednostki, która po prostu weźmie nas na hol, nie mamy szans dotrzeć do St. Brandon, zwłaszcza że kapitan nie jest pewny, jak długo ten drugi silnik wytrzyma.

Dowiadujemy się że leci w naszą stronę samolot poszukiwawczy i że w ciągu 30 minut będziemy mieli z nim kontakt radiowy. Rzeczywiście kontakt jest. Kapitan opowiada na pytania lotnika o naszej sytuacji. Pilot ustala naszą pozycję i zawraca na Mauritius. Po kolejnym kontakcie otrzymujemy informację, że w naszą stronę wysyłają kuter rybacki o nazwie „Quo Vadis I” – po łacinie „dokąd zmierzasz”. Dobrze pytanie – dokąd płyniemy i co tam zastaniemy? Odbywają się kolejne seanse łączności ze statkiem bazą, Cost Guard i statkiem rybackim „Quo Vadis I”. Dobrze, że jest pomoc i władze Mauritiusa wiedzą o naszej sytuacji. W czasie oczekiwania pracujemy



Statek o dumnej nazwie „Nadzieja”



„Quo Vadis I” spieszy na ratunek



Już wiemy – łódź jest o połowę krótsza od katamarana, ale porusza się bardzo szybko po wzburzonym morzu



Widzę St. Brandon – Włodek woła nas na pokład

na pasmach. Nasza antena o dziwo stroi się na wszystkich pasmach, najlepiej na 17 i 20m. Udaje nam się nawet zrobić na 100 W kilka QSO z Polską i to pomimo dużego SWR! Stacje Zigi SP5ELA, Leszka SP3DOI i naszego pilota Sławka SP2JMB słychać po całym pokładzie, sygnały są niezwykle silne. Powiadamy przez kolegów nasze rodziny o zaistniałej sytuacji. W nocy z Danusią jak zwykle jesteśmy na galerii obok mostka kapitana. Czekamy na tę, jak nam się wydawało, dużą łódź rybacką. Od czasu do czasu pojawia się Andrzej, który też nie może spać. Około 2 w nocy jest kontakt wzrokowy. Jednostki się widzą. Małe światełko łodzi rybackiej raz się pokazuje, raz znika. Duża fala powoduje to migotanie. Rano o świcie dopływamy do „Quo Vadis I”.

Około 7 rano podejmujemy hol i około południa dopływamy do naszej „nadziei” – statku bazy „L’Espoir”

Po jakiejś chwili przypląwa silna czteroosobowa grupa oficerów z Coast Guard z wyspy St. Rafael i spisują nasze dane z paszportów. Nasze polskie nazwiska są tak trudne dla nich, że trwa to około godziny. Ponieważ nie ma zgody na nasze zejście na ląd, musimy kolejną noc czekać na katamaranie. Wysyłam kapitana i syna właścicielki katamaranu, Michaela (który z nami płynął), na statek bazy, aby ze statku bazy porozumieli się z naszym przyjacielem Clencym poprzez telefon satelitalny i aby on z kolei spróbował uzyskać zgodę na nasze zejście na ląd oraz zmianę licencji krótkofalarskiej na 3B6SP.

Ranek przynosi przyjazd Coast Guard – jest zgoda na nasze zejście na ląd i możliwość komunikacji via Radio Meteo z Mauritusem z Clencym. Podejmuję decyzję, że w trzy osoby: ja, Danusia i Wojtek, płyniemy na ląd w pierwszej turze, a reszta po

nas. Zabieramy bagaż osobisty, gdyż mamy spać w bungalowach. Po przywitaniu się z Meteo i krótkiej rozmowie jest kontakt z Mauritusem i zdumiewająca informacja... aż niewiarygodna jest nowa licencja i nowy znak 3B7SP. Jutro potwierdzą. Jak się po powrocie na Mauritius dowiedzieliśmy, decyzje osobiście podjął premier Mauritiusa i polecił w trybie pilnym wydać nam licencję. Ale my tego tu na Wyspie Raphael nie wiemy i prosimy, aby dowódca Coast Guard na St. Brandon nam to potwierdził w ich dowództwie na Mauritiusie. W końcu to policja i informacja będzie w 100% pewna. Potwierdzenie przychodzi po dwóch godzinach, w międzyczasie prezes MARS 3B8CF potwierdza: „macie licencję 3B7SP”!



Licencja 3B7SP

Cały Mauritius żył naszą wyprawą. Tranzystorowy odbiornik radiowy szefa wyspy co godzina podawał o nas komunikaty, a Clency wywiady

Zaczynamy przewozić 15 skrzyń ze sprzętem, tonę ropy i resztę bagażu. Jest szarówka, jak kończymy montaż 3-elementowego beama (który pożyczyl nam Wojtek SP9PT) na 20/15 i 10m. Ustawiliśmy go w pobliżu miejsca naszego zamieszkania, bo mają dodatkowy trzeci generator i jest szansa, że mogą pracować naraz cztery stacje. Nasza baza – cóż to za dumne słowo, to pawilon w którym są trzy izby wydzielone na pokoje do spania oraz dwie w wdzięcznej nazwie kuchnia. Są też dwie toalety z wodą deszczową do mycia się i gotowania. Wszystko raczej przypomina carski kryminał niż XXI wiek.

Wszystcy pierwszą noc śpimy w dwóch izbach, rano okazuje się, że 4 osoby stałej obsługi wyspy przenoszą się na drugi koniec archipelagu, dzień wcześniej ani słowa o tym nie mówiąc i zwalnia się jeden pokój. Przenosimy się tam z Danusią. Ale jest i zła informacja: zabierają ten trzeci generator, a już załatwiłem butlę gazu i 40 l benzyny do niego. Czym będziemy zasilać stację? Wszyscy są skonani, zasy-

piamy, śpiąc mocno po ostatnich 4 dniach nieprzespanych na oceanie i ciężkiej pracy na wyspie. Wstając o świcie, mam uczucie, że ziemia się kołysze, a to mój błędnik ciągle jest na morzu. Inni koledzy mają to samo wrażenie. Rano przewożymy pozostałą część wyposażenia na drugą stronę wyspy i rozpoczynamy montaż reszty sprzętu. Przewiezenie sprzętu lub spacer po wyspie o wschodzie przypomina horror *Ptaki*. Setki białych i czarnych ptaków zamieszkujących wszystkie istniejące na wyspie drzewa atakują nas, próbując przegonić ze swojego terenu. Są niesamowicie agresywne. Potem jakby coś im się zmieniło i około południa do wieczora już ich nie interesujemy. I tak codziennie. Wieczorem za to, około 18 lokalnego czasu, z wszelkiego rodzaju dziur wychodzą setki szczurów, które po prostu są wszędzie. Zauważyliśmy, że jak pokazywał się silny wiatr wieczorem, nie wychodziły – pewnie wiatr mylił ich system ostrzegania przed niebezpieczeństwem. Początkowo denerwowało nas to bardzo. Danusia jak to kobieta na początku wzdygała się przed nimi, ale po paru dniach już nie zwracała uwagi na ich obecność.

Ich nocna aktywność powodowała, iż zostawienie czegośkolwiek, co mogłyby zjeść, bez opieki na chwilę, ba nawet na krótką chwilę, powodowało odkrycie, że one już tam były. Ja też poniosłem stratę w postaci częściowo zjedzonej osłony mikrofonu z mojego systemu mikrofonowego Heila. Z innych „zwierząt” były olbrzymie karaluchy, jakich nie spotyka się w Europie, a brzeg oceanu był własnością krabów i ośmiornic. Ich też było bardzo dużo. Nawet raz nasz kucharz Józek zrobił z nich zupę krabową – pycha.

Ale co zrobić ze stacją przy naszym domku? Demontować ją? Przenieść w poblizko pozostałych stacji? Z rozwiązaniem przychodzi Danusia, która uzyskała zgodę od Meteo, że pomogą, ale... tylko w ciągu dnia, jak zrobimy własną instalację sieciową, zapewnimy ropę oraz zobaczymy, dlaczego ich podstawowy generator daje tylko 190 V i go naprawimy. Zgadzą się. Idziemy w trójkę do pomieszczenia, w którym mają generatory. Ich generator podstawowy jest starszą konstrukcją, ale bardzo solidną. Krzysiek i Andrzej sprawdzają, co może być przyczyną uszkodzenia. Andrzej szybko odkrywa, że mają złe wyskalowany miernik napięcia. Ich generator daje około 205 V, a nie 190V jak myśleli!



Kraby czekają na Józka



Zaczęło się. Wołają nas stacje z Europy.



Znowu idzie wolno – Wojtek denerwuje się słabą transmisją logów

Podnoszę minimalnie obroty generatora, jest 220–226 V. Włączamy 2 KW, czujnik napięcie cały czas jest na stałym poziomie. Super! Zadowolona jest też obsługa stacji Meteo. Poprawiamy instalację sieciową, dociskamy przewody. Jest OK! Krzysiek z Andrzejem błyskawicznie podłączają stację i budynek do generatora, aby się nie rozmyślił. Będziemy mieli wieczorem światło w domkach. W tym czasie reszta buduje anteny i instaluje sprzęt na poszczególnych stacjach.

Tak więc po całym dniu intensywnej pracy wieczorem kolejne dwie stacje były gotowe do pracy. Około 11.30 UTC rozpocząłem pracę na 20 m SSB. Pierwszą stacją jest brat Krzysztofa SP3MGM, SP3NEN, który od rana na nas czekał na naszej zapowiedzianej przed wyprawą częstotliwości. Zaczął się pile-up. Zaczęłem dochodzić do 240 QSO's na godzinę, pracując mocą około 300W i używając nisko zawieszanej 3-elementowej Yagi. Szybko przybywa łączności. Wiele stacji wołało podając po kilka razy swój znak bez przerwy, w ogóle nie słuchając moich odpowiedzi. Rasowi DX-mani robili łączność z nami bardzo szybko. Na drugim końcu koledzy zaczynają pracę na kolejnych pasmach najpierw na 40m, gdzie dwa sfazowane wertikale są znakomicie słyszane, Andrzej zaczyna swoje RYRY na 18 m. W drugim dniu rozpocząłem też pracę na 21m i 10 m. To ostatnie

pasmo było tragiczne. Stacje wychodziły jak meteory. Jeżeli ich nie odebrałem za pierwszym razem, to większość przepadała i mimo ich ponownego wywoływania już nie wracały. Bardzo dobrze pracowały stacje włoskie i rosyjskie oraz widać było dużą aktywność stacji OK, OM i Ukrainy. Bardzo dużo było stacji z DL i, co zrozumiałe, z Polski.

Generalnie słabiej wychodziły stacje z północy Europy. Fatalnie było na kierunku na Amerykę Południową i mimo że słuchałem tylko tego kontynentu, nie było

ich dużo. O wiele lepiej wychodziły stacje z West Coast, zarówno USA jak Kanady. Ładnie wychodziły stacje z Meksyku. Japończyków było tysiące!

W trzecim dniu zaczęły się momenty, że jak ktoś wołał, to prawie od razu był w logu. Koledzy na niższych pasmach zaczęli od RTTY i CW. Bogdan SP3RBR szalał na 40 i 80m na telegrafii. Robert SP5XVY pracował fonią na początku na 17m (było to najlepsze pasmo – bo czynne cały czas), a następnie na niższych na zmianę z Andrzejem SP3RBG i Włodkiem SP6EQZ. Andrzej SP3RBG we współpracy z SP5BFX pracowali emisjami cyfrowymi a Włodek SP6EQZ i Krzysztof SP3MGM na telegrafii, przy czym Krzysztof, ponieważ nie miał modemu do swojego komputera, grał na kluczu.

Na stacji przy pawilonie mieszkalnym na SSB pracowali ze mną na zmianę Danusia SP9SX i Wojtek SP5BFX. Wojtek ponadto masę czasu poświęcił na wysyłanie codziennych relacji z wyprawy (vide nasza strona) do naszego sponsora medialnego PC World oraz logów poprzez Pastor, a ponadto zbierał z czterech stacji codziennie logi do jednej bazy. Powodowało to wyłączanie stacji SSB na kilka godzin, bo tyle szły logi online, a i tak często modem się wyłączał...

Zycie codzienne poza pracą na pasmach urozmaicały różnego rodzaju zdarzenia, a to jednego dnia zażyczyliśmy sobie od ry-

baków kraby na obiad. Ku naszemu zdziwieniu złowili ich ponad 35 kg. Cały wielki koszt świeżych krabów – dwa dni je jedliśmy.

W dniu 16 czerwca przypadały moje urodziny, więc zarządzane zostało party urodzinowe. Impreza była huczna i brała w niej udział cała nasza grupa oraz wszyscy mieszkańcy St. Raphael. Szef stacji Meteo Antuan, który był na misji na St. Brandon po raz szósty, a każda misja to 6 miesięcy, stwierdził z całą powagą, że takiej imprezy w historii St. Brandon jeszcze nie było. Spotkanie skończyło się wspólnym śpiewaniem polskich i kreolskich szlagierów. Krzysiu, który miał najmocniejszy głos, intonował melodie, a wszyscy z nim śpiewali refreny. Podobnie Andy ze straży wybrzeża inicjował melodie kreolskie. A ponieważ mieliśmy mnóstwo świeżych ryb, kiełbasek z łódki katamaranu, które nie zdążyły się rozmrozić i dużo dobrego wina, które na tę okazję specjalnie kupiłem, więc spotkanie było niezwykle udane. Było ono bardzo potrzebne, bo pozwoliło na wyluzowanie i wypuszczenie z każdego z nas napięć związanych z naszą odyseją po oceanie oraz przygotowywaniem do pracy stacji. Było też łowienie ryb. Ale nie wiem, czy to tak do końca można to tak nazwać. Sprzęt do łowienia składał się z pustej litrowej plastikowej butelki po wodzie mineralnej z nawiniętą na nią linką plastikową do której doczepiona była śruba (pewnie z naszego katamaranu) i oczywiście haczyk z kawałkiem pociętej ryby.

Łowienie polegało na wyrzuceniu śruby z przynętą za burtę i odczekaniu, aż linka przestanie się rozwijać, policzeniu do pięciu i wyciągnięciu linki oczywiście ze złowioną rybą. W trzy osoby w ciągu około 80 minut złowiliśmy około 60 kg świeżej dobrej ryby, z czego kilka niezwykle smacznych babonów. Złowiliśmy też kilka bardzo dużych czerwonych ryb, których nazwy nie pamiętam, ale zostały wyrzucone za burtę, gdyż



Krzysiu – czy nie za małe? Danusia trzyma żywe kraby, dopiero co dostarczone



Łowimy na całego – używamy wędki a la butelka



Nasza „wielka wyspa” widziana od strony oceanu z odległości około 150 m

rybacy z „L’Espoir” stwierdzili, że te ryby są niesmaczne.

Były też wycieczki na sąsiednią wyspę, przepiękną i kontrastującą z naszą swoim pięknem i czystością. Gdzie przy przypływie tworzyły się na złotym piasku płytkiny o głębokości około 30/40 cm, w których było bardzo dużo płaszczyk, małych rekinów, żółwi morskich i dziesiątki małych kolorowych rybek. Był to zupełnie inny świat w porównaniu z brzydką i zniszczoną przez rybaków wyspą St. Raphael.

Bawiliśmy się jak dzieci na tej wyspie, goniąc po płytkiej wodzie płaszczyki lub małe (około 1m długości) rekiny. Można tam też było pływać bezpiecznie, nie narażając się na ostre rumowiska powstałe ze zniszczonych raf koralowych oraz zbierać cudownie kolorowe muszle wyrzucone przez ocean. Niestety tylko dwa razy udało nam się znaleźć czas na taką fanaberię.

Zwyczajny dzień dla mnie zaczynał się około 6 rano. Część zespołu jeszcze spała (to ci, którzy zaczynali rano), a część kończyła pracę z nocnej zmiany na drugim końcu wyspy. Odsłaniałem przykryty namiotem stół, na którym była stacja IC 756pro ze wzmacniaczem Drake’a i mój laptop. Odlączałem od 220 V pozostałe odbiorniki (głównie oświetlenie) i szedłem, by odpalić znajdujący się w stacji Meteo generator.

Następnie uruchamiałem moje stanowisko, sprawdzałem czy, aby wiatr nie obrócił anteny, kierowałem w stronę USA (Europa była plus minus w tę samą stronę), zaczynałem wołać CQ. Często zanim pierwsza stacja mi odpowiedziała, mijały minuty. Potem pewnie po wpisaniu mnie na cluster zaczynało wołać więcej i więcej stacji. Rano starałem się wołać West Coast USA/Kanady, ograniczając stacje z Europy. Około 10 lokalnego czasu West Cost zanikał, chociaż były czasami pojedyncze stacje, które się do nas dobijały i później. Często Maciek WQ7X z Phoenix potężnym sygnałem pytał mnie, jak nam idzie i podpowiadał innym kolegom z USA, że są warunki propagacyjne na nasz kierunek. Od 10 do 12 wołały głównie stacje z Europy. Około 12 obracałem się na Japonię i wtedy było dużo stacji UA0, JA, BD, BV oraz od

czasu do czasu YB. W tym czasie też mocno wychodziły stacje VK i ZL. Około 15 zaczynaliśmy zabawę z wysyłaniem Pactora (czasami, jak nie było dobrych warunków dnia poprzedniego, to wcześniej). Tym zajmował się Wojtek SP5BFX i zajmowało mu to 2-3 godziny dziennie. Wtedy miałem przerwę na nadawanie i można było robić wyżej opisane wycieczki lub po prostu odpoczywaliśmy.

Około 19 lokalnego czasu mieliśmy skedy z pilotami i naszymi rodzinami. Trwały one od godziny do dwóch. Każdy miał coś do przekazania, a też chyba zaczynali tęsknić za rodzinami. Potem do końca warunków, a więc godziny 21 lub 22 w nocy pracowaliśmy na 20 m. Pod koniec pobytu Bogdanowi udało się skonstruować antenę na 160m i w ciągu 3 dni zrobił ponad 350 QSO w tym paśmie ze wszystkimi kontynentami, co o tej porze roku, przy tak złych warunkach, uznaliśmy za sukces. Liczby łączności w logu były codziennie w czasie lunchu sprawdzane i gdy przekroczyliśmy 40 000 QSO, byliśmy bardzo zadowoleni. Wydawało się, że jest szansa na ponad 50 000 łączności, ale ostatnie 3 dni były po prostu tragiczne, zarówno w nocy jak i w dzień. Pod koniec wyprawy zabrakło nam ropy, ale Danusia wyjęła z naszych zapasów 4 butelki wina i kilkanaście puszek piwa, a wieczorem Michael wrócił z czterema nowymi karnistrami ropy. Zakończyliśmy naszą zabawę z radiem na Wyspie Świętego Rafała z liczbą blisko 46 000 łączności, a ostatnią stacją był kolega z Rosji... Zbliżał się dzień powrotu.



Postanowiliśmy, że pora zrobić parę fajnych fotografii dla nas, naszych sponsorów i na karty QSL. Udało nam się zebrać całą naszą grupę, przybyli w pełnym składzie koledzy ze Straży Wybrzeża i Meteo. Zabawa w przebieranie się w reprezentacyjne koszulki trwała dobre 2 godziny

Clency zamówił dla nas supernowoczesny trimaran o nazwie „Patrol One”, wyprodukowany w Niemczech w dwóch egzemplarzach, naszpikowany elektroniką jak Airbus 320. Była to łódź o długości około 24m, nawet fotele były w niej lotnicze.

Łódź płynęła do nas tylko 9 godzin, powrót miał trwać podobnie, jako że kapitan tej jednostki poinformował nas o wynoszącej ponad 30 węzłów prędkości (ponad 50 km na godzinę). Transportem sprzętu na trimaran zająłem się sam przy pomocy rybaków, reszta kolegów ciężko pracowała przy likwidacji anten i ich zabezpieczeniu. Pakowali całość do tych samych pojemników, w których przybyli na Mauritius. Około 16.00 lokalnego czasu wyruszyliśmy na Mauritius żegnani przez całą ludność St. Rafael, załogę „Josephiny” i rybaków z „L’Espoir”. Łódź nabrała dużej szybkości. Niestety poza kołysaniem przód /tył doszły szybkie kołysania boczne. Część kolegów od razu poczuła się źle. Ja byłem w tak dobrym nastroju, że nie tylko nie zażyłem żadnych leków, ale zjadłem dwie duże bułki z se-





W drogę powrotną na „Patrol One”

rem i wypilem kilka kieliszków smacznego czerwonego wina. Podskakiwanie łodzi na falach było też momentami zabawne. Krzysztof i Andrzej, którzy leżeli w jednej z kajut, opowiadali, że wylatywali wyrzuceni do góry z łódki, gdzieś w powietrzu objęli się o siebie i solidarnie padali na łóżko. I tak co fala to spotkanie w powietrzu i na dół. Około 2 w nocy trimaran zatrzymał się na wymianę filtra paliwa i po jego wymianie nie umiał już osiągnąć wyższej niż 10 węzłów szybkości. I znowu zamiast przybyć do Port Louis około 10 rano, dobiliśmy do brzegu około 17 wieczorem.

Oczywiście znowu było witanie nas, towarzysząca nam łódź powitalna, telewizja, reporterzy itp. Najważniejsze, że wróciliśmy cali i zdrowi, udało nam się również spędzić nasze wakacje z radiem. Włodek przejęty opowiadał o naszych przygodach lokalnej prasie, a ja udzieliłem ponadto wywiadu telewizji. Było bardzo głośno w pozytywnym tego słowa znaczeniu o krótkofalowcach na gościnnym Mauritiusie.

Wieczorem dotarliśmy na nocleg do naszej bazy i zaraz po kąpieli wszyscy rzucili się do łączności via Skype z rodzinami i czytaniem setek maili. Ostatnie dwa dni to zakupy upominków, dalsze zwiedzanie wyspy, ostatnie ustalenia z Clencym, w tym sposobu wysłania carga powrotnego. W niedzielne popołudnie pożegnaliśmy się z Bogdanem i Robertem, którzy zostali, aby wysłać cargo, a cała grupa udała się via Paryż do Warszawy, dokąd dotarliśmy w południe.

Wyprawa, do której przymierzałem się tyle lat, przeszła do historii. Była to pod każdym względem bardzo trudna wyprawa. Niezwykle dramatyczna i wymagająca od uczestników dużego samozaparcia i umiejętności.

Była to wyprawa, która nie miała wsparcia komercyjnego, tak jak inne. Cały sprzęt był własnością uczestników wyprawy, żaden duży dostawca sprzętu nie wspierał wyprawy, a przeciwnie. Członkowie wyprawy ponieśli wysokie koszty z własnych oszczędności, a największe wsparcie wśród klubów okazał SP DX Club (ponad 1000\$), a z zagranicy German DX Foundation, która zaoferowała wyprawie aż 350 euro, a której członkowie zrobili z wyprawą 896 QSO! Ale nie ma się czemu dziwić, to była pierwsza tak duża pod względem liczebności ekspedycja z Polski i nie mieliśmy żadnej historii. Sądzę, że następne spotkają się z większą przychylnością. I na koniec jeszcze raz chciałbym podkreślić, że wyprawa doszła do skutku tylko dzięki pomocy Waleriego RD3AF, który bardzo nam pomógł i zachęcił mnie do jej realizacji. Szkoda,

że zajęcia zawodowe nie pozwoliły mi na uczestnictwo w niej z nami. Dziękuję ci, Val, i sądzę, że w następnej wyprawie będziemy razem.

Chciałbym serdecznie podziękować każdemu z uczestników ekspedycji z osobna za wkład pracy i środków w wyprawę, jak również kolegom z SP3KEY, którzy pod kierunkiem Bogdana SP3RBR wykonali wspaniałe anteny, na których było nas słychać w świecie. Również Zarządowi Głównemu PZK należą się szczególnie ciepłe słowa za okazywaną wyprawie pomoc, rozliczanie kosztów wyprawy i wsparcie zarówno poprzez osobiste zaangażowanie Piotra SP2JMR, jak i całego sekretariatu ZG PZK.

Dziękuję też naszym pilotom, Sławkowi SP2JMB i Andrzejowi VA3PL, za serce, czas poświęcony ekspedycji, odpowiadanie na tysiące maili i kontakt z naszymi rodzinami. Serdeczne całusy należą się też Małgosi SP3RBH, żonie Andrzeja SP3RBG, która codziennie przez kilka godzin czuwała nad skedami z nami, wysyłała maile i przekazywała świeże wiadomości z Polski. Na koniec wielu kolegom, którzy podpowiadali, jak nas słyszać i pilnowali propagacji. Z wielkiej liczby wołających nas kolegów wymienię tutaj: SP8BRQ, SP3DOI, SP5ELA, SP2JMR, SP9PT, WQ7X, SP9CTT, SP4Z, SP4R, SP6EF... i wielu innych, którzy chociaż na kilka sekund nas wsparli. TNX!

Czas pomyśleć o nowej wyprawie, są już dwie kandydatury i jak przystało na poszukiwacza przygód, znacznie trudniejsze od 3B7.

Witek SP9MRO